Sczytanie i weryfikacja: Jan Sienkiewicz

Dziennik
rok 1916
Michał Römer
15 września roku 1916
Warszawa
tom XVII

15 września, rok 1916, piątek
Akurat przed rokiem, 15 września 1915, rozpoczynałem moją praktykę żołnierską wojenną. Czy wypadnie mi ja wkrótce ponowić i znów żołnierzem czynnym na wojnie wystąpić? Najbliższe już niemalże nie tygodnie, ale dni to pokażą. Dziwi mnie, że dotąd nic nie mam od Maryńki w sprawie jej przyjazdu. Codziennie czekam bądź listu z wiadomością o przyjeździe lub odmowie, bądź jej samej. I nic.
Na wojnie nic wielkiego w tych dniach nie było. Uwagę przykuwa akcja w Dobrudży. Powodzenie ofensywy bułgarsko-niemieckiej w Dobrudży, które się tak dobitnie ujawniło w zwycięstwie pod Dobriczem, zdobyciu Tutrakanu i zajęciu Sylistrii, stropiło znów naszych moskalofilów i wszystkich tych, których wystąpienie Rumunii było przejęło pewnikiem o rychłym już teraz zwycięstwie koalicji i Rosji. W ostatnich kilku dniach nic nowego w Dobrudży nie zaszło, ale w pozawczorajszym komunikacie niemieckim jest wieść, która jest co najmniej równa nowemu zwycięstwu: Mackensen stoi na czele operacji wojennych w Dobrudży! Gwiazda tego wodza mówi sama przez się o zwycięstwie. Wreszcie zguba się znalazła. Mackensen jest. A gdzie jest Mackensen, tam – zwycięstwo. Tak mówi już „*vox populi*”, legendą niezwalczalności imię tego wodza otaczając.
O naszym natomiast wodzu, Piłsudskim, wieści są nienajlepsze. Te wieści, które się w zeszłym miesiącu były rozeszły – o podaniu się Piłsudskiego do dymisji – nie były z palca wyssane. Potwierdza się, że podanie o dymisję było istotnie przez Piłsudskiego złożone. W jakiej formie i dokładnie kiedy – tego nie wiem. Na razie jest rzecz nie rozstrzygnięta. Niedawno zaś Piłsudski jeździł do Cieszyna, do austriackiej Naczelnej Komendy Armii, do której był wezwany. O co chodziło – też dokładnie nie wiem, bo różne podawane są wersje. Przeciwnicy Piłsudskiego z kół Departamentu Wojskowego i LPP twierdzą, że Piłsudski nie usłuchał jakiegoś rozkazu Linsingena i że stąd powstał zatarg między nim a dowództwem pruskim, żądającym od komendy austriackiej jego usunięcia. Zwolennicy zaś Piłsudskiego nie wierzą temu i przypisują wyjazd Piłsudskiego do Cieszyna sprawom polityczno-legionowym, względnie łączą trudności, wynikłe w stosunkach Piłsudskiego z komendą austriacką, z intrygami Sikorskiego, który w Naczelnej Komendzie dyskredytuje Piłsudskiego i chciałby go z Legionów wysadzić. Jakkolwiek bądź, ale w Cieszynie nie doszło do porozumienia między Piłsudskim a komendą austriacką. Piłsudski stawiał się podobno ostro i mocno stał na stanowisku znanych żądań Konferencji Pułkowników, względnie nastawał na swej dymisji i rozwiązaniu Legionów. Wyjścia nie znaleziono i na razie udzielono Piłsudskiemu urlopu do Zakopanego do 15 października. Niektórzy mówią nawet (na podstawie pewnych listów i relacji, które otrzymał Sławek), że urlop ten jest zamaskowanym internowaniem Piłsudskiego w Zakopanem. Podobno Piłsudski miał oświadczyć w Komendzie Armii, że o ile nie spełnione zostaną przez Austrię żądania Legionów, to on i po 15 października nie wróci do Brygady. Ponieważ zaś są wielkie wątpliwości, aby Austria poszła teraz na ustępstwa na rzecz tych żądań, przynajmniej w formie spełnienia ich pod naciskiem, więc robią się przypuszczenia, że już Piłsudski do

Legionów wcale nie wróci, że po 15 października zaprolongują mu sami Austriacy urlop bezterminowo, aż później całkiem się go pozbędą, czy to pod postacią dymisji, czy inaczej. W Zakopanem dokoła osoby Piłsudskiego rozpocznie się zapewne ognisko ruchu politycznego. Słychać, że już Adolf Śliwiński i Ignacy Daszyński są tam u Piłsudskiego. Tymczasem Sikorski pojechał na front, gdzie obejmuje podobno komendę III pułku (b. pułk Minkiewicza II Brygady). Ten wyjazd Sikorskiego na front do służby czynnej byłby wielką osobliwością, gdyby nie to, że to jest, zdaje się, aktem politycznym, obliczonym na zadzierzgnięcie w Legionach węzła intrygi, by je odciągnąć od Piłsudskiego i jego linii politycznej. W ostatnich czasach bowiem, zwłaszcza odkąd Januszajtis odjechał ranny i Minkiewicz został wzięty do niewoli, wpływy Piłsudskiego ustaliły się we wszystkich brygadach i Legiony poszły kategorycznie po linii Piłsudskiego. NKN i Departament chcą to odrobić. Takim jest klucz wyjazdu Sikorskiego, który jednocześnie zachowuje w ręku kierownictwo Departamentu Wojskowego. Razem z nim wrócił na linię Januszajtis, w którym departamentowcy i LPP upatrują antagonistę Piłsudskiego, robią mu owacje, fetują i sławią, podniecają jego ambicję i stwarzają zeń sztuczną wielkość dla przeciwstawienia jej wielkości istotnie wielkiego Piłsudskiego. Januszajtisa, młodzika próżnego, ale podobno głupiego, chcą użyć za narzędzie swoje.

16 września, rok 1916, sobota
Znowu dzień upłynął bez żadnej od Maryni wieści. Już wielki czas, aby się coś w sprawie jej przyjazdu wyklarowało.
Jesień na dworze. Od kilku dni chłód dość przejmujący i zapach jesieni w powietrzu. Nie wiem dlaczego, przypominają mi się jesienie ubiegłe, spędzone z Aninką w Wilnie – szczególnie ta jesień pierwsza z tych czasów, gdy ona mieszkała w tym małym samotnym pokoiczku na górze w domku na Antokolu. Może powietrze tamtej jesieni było podobne do obecnego. Jakże daleko od owych czasów odbiegłem. Teraz ja samotnik, Twój Michaś bez Ciebie, Aninko!
Jakże inną jest też ta jesień od zeszłorocznej! Mieliśmy wtedy na Polesiu ciepło niemal upalne przez cały wrzesień i jeszcze przez część października. Teraz, jeżeli wrócę do legionów na linię, będzie chłód jesienny, wśród wilgoci bagien i zbliżających się już przymrozków i zimy. Czuję ten chłód jesienno-zimowy, który tam czeka na placówkach nocnych, na czuwaniu w rowach, względnie nawet na stałych noclegach. I gdy myślę o tym, to ze szczególniejszą rozkoszą cieszę się i krzepię ciepłem wieczoru, spędzonego w pokoju moim wśród czterech ścian o oknie zamkniętym i świetle lampy elektrycznej lub jeszcze lepiej w łóżku pod ciepłą kołdrą. Ma to swoją jednak szczególną rozkosz, którą teraz wprost fizycznie wyczuwam na myśl o chłodzie w polu. Sycę się chciwie na zapas tym ciepłem, bo może go już niedługo mieć będę. Toteż z przyjemnością spędzam wieczory me w domu, pomimo samotności zupełnej, spożywając skromną wegetariańską kolację „wojenną", złożoną z chleba, pomidorów, cebuli, ogórka solonego i szklanki wody gorącej z dwiema kostkami „maggi". Poza tym czytam, piszę trochę i kładę się wcześnie do łóżka.
Już od paru tygodni piszę mój rodzaj listu do mojej córki Cesi, o którym wspominałem, zdaje się, w dzienniku. Jest to list do niej na wypadek mojej śmierci, przeznaczony do wręczenia jej, gdy skończy 18 lat życia. Ewentualnie nastąpi to dopiero w roku 1928! Opisuję w nim z wielką szczerością dzieje mojego stosunku z jej matką, z Reginą, aby córka dowiedziała się istoty rzeczy tego dramatu, z którego ona na świat przyszła, a który stał się nieszczęściem jej matki i w moim też życiu dużo zaważył. Dotykam przy tym i różnych stron mojego życia. Jest to wielki urywek mojej autobiografii z tamtych czasów, który nie ogarnie jednak głównych momentów mojego życia, a więc nade

wszystko lat mojego szczęścia w miłości z Anną i takich momentów, jak praca moja nad książką „Litwa" i obecny legionowy okres życia. Jest to tylko biografia naszego stosunku z Reginą, który jest podstawą życia naszej córki. Jednak to jest wielka i tragiczna karta życia. Praca ta rozrosła się pod piórem do obszernego dziełka.

17 września, rok 1916, niedziela
Znów wielkie powodzenie wojsk bułgarsko-niemiecko-tureckich pod wodzą Mackensena w Dobrudży. Rumuńsko-rosyjskie wojska, wraz z oddziałami bezdomnych wojsk serbskich, rozbite, zmieszane, cofają się na linię Czarna Woda-Medżidje-Konstanca. Jest to linia Wału Trajana. Jaki będzie dalszy rozwój tej akcji? Czy Mackensen forsować będzie dalej ku północy Dobrudży wzdłuż dolnego Dunaju, czy tez sforsuje Dunaj i uderzy w głąb Wołoszy? Gdzie Mackensen – tam ofensywa i zwycięstwo. Co za piękna kariera wojskowa tego wodza! Liberator Galicji, zdobywca Serbii, pogromca Rumunii w Dobrudży na drodze do Konstantynopola!
Dziś znowu odbył się w Warszawie wielki wiec w Filharmonii, zwołany przez Klub Państwowców Polskich. Jak czerwiec-sierpień upłynęły pod znakiem „konsolidacji", której inscenizatorem był CKN, tak wrzesień płynie pod znakiem ostrej walki między aktywizmem a pasywizmem, inaugurowanej przez Klub Państwowców. Wiadome są dzieje „konsolidacji". Przyniosła ona – jako jedyny realny na zewnątrz sukces – kompromis wyborczy do Rady Miejskiej i wspólną tej Rady deklarację niepodległościową. To były jej owoce realne i cenne, ale do żadnej czynnej akcji nie wiodące. Wewnątrz konsolidacja zbankrutowała. Okazała się niezdolna do żadnej akcji, bo zasadniczo rozbieżna co do metod i dróg spełnienia naczelnego hasła. Dla aktywistów bowiem hasło to było celem konkretnym czynu, dla pasywistów – chorągiewką malowaną. Ze stanowiska więc ruchu i czynu Sprawy Polskiej konsolidacja była jałową, była zaiste płodem poronionym. Ujawniło się to aż nadto wyraźnie na sierpniowych „egzaminach" skonsolidowanych w tzw. Delegacji grup. Tymczasem, w miarę, jak w CKN-ie pryskały iluzje konsolidacyjne i „wielka polityka" Medarda Downarowicza osiadała na mieliźnie jałowej, wyrastać zaczął z samego ona robotniczych i ludowych stronnictw prąd do pogłębienia akcji organizacyjnej i społecznej, opierając polityczny aktywizm na wzmożeniu wewnętrznej siły procesów ludowych; i ten nowy głęboki prąd przeciwstawił się wielkiej polityce konsolidacyjnej CKN-u; CKN niejako wsiąkł w głąb swoich stronnictw ludowych. Jednocześnie zaś z ostrzem politycznego aktywizmu, wymierzonym bez żadnych kompromisowych odchyleń, wystąpił lub Państwowców Polskich. Jego wiec z d. 3/IX wystawił w całej sile aktualizmu postulat niepodległego Państwa Polskiego, opartego o własny rząd i własną armię dla obrony i walki o tę niepodległość w wojnie z Rosją. Kategoryczne proklamowanie tego postulatu przez wiec publiczny zaniepokoiło cały obóz pasywistów, którzy tym razem sprzymierzyli się z moskalofilami. I oto skutkiem tego był ów protest czterech czy pięciu stronnictw, ogłoszony w zeszłym tygodniu w „Kurierze Warszawskim". Protest ten zwracał się przeciwko „zbyt daleko idącym" postulatom i ogłaszał je za wyraz samozwańczej garstki jednostek. Ciekawa rzecz, że inicjatywa tego protestu wyszła nie od właściwych moskalofilów – endeków – ale od oportunistycznego Stronnictwa Narodowego. Głównym bowiem macherem protestu był człowiek tego stronnictwa, adwokat Zbrowski. Błędem byłoby przypuszczać, żeby Stronnictwo Narodowe powodowało się moskalofilstwem. Gotowe ono przyjąć wszystkie fakty dokonane, byle one już były pewne i byle się na nich bezpiecznie oprzeć można i iść na wszelką ugodę z kim się da, byle z siłą rzeczywistą, a dopóki ta siła jest jeszcze nie ustalona, to byle po cichu. Ale stronnictwo to się boi; nie pragnie powrotu „taty", ale się go boi; boi się zarówno samego „taty", jak nie mniej masy

chłopskiej, niebezpiecznej dla ziemian, podminowanej odruchami nienawiści do panów i węszącej konszachty tychże panów – ziemian i księży – z Niemcami pod płaszczykiem niepodległości. I oto Stronnictwo Narodowe, które jedną ręką gotowe jest popierać radykalny i niepodległościowy ruch ludowy, byle po cichu, byle o tym nie wiedziano, bo ten ruch, uświadamiając chłopów i zwracając ich do celów twórczych w narodowym i społecznym zakresie, odwodzi ich od nastrojów rzezi szlacheckiej, jakie w ciemnej masie fermentują, Stronnictwo, które skądinąd samo po cichu wchodzi w konszachty z Niemcami, drugą ręką podpisuje głośno protest przeciwko aktywizmowi niepodległościowemu, by wobec ciemnych mas odseparować siebie od tych, co to rzekomo owe „rządy polskie – rządy pańskie" gotują. Jest to metoda asekurowania się na wszystkie fronty. Ale gra taka jest trudna i karkołomna. Ostatecznie trzeba się albo tu, albo tam, albo wobec jednych, albo wobec drugich skompromitować. Autorowie protestu tak go zredagowali, że w razie potrzeby mógłby on ujść i za protest przeciwko samej niepodległości jako takiej, nie zaś tylko przeciwko środkom i metodom. Gdyby wrócił „tata", to tak by można było rzecz tę jemu i ciemnym, przeciwko „pańskiej Polsce" usposobionym masom przedstawić, naprawiając niepodległościową deklarację Rady Miejskiej i inne wykroczenia, jak 3 maj, obchód grochowski itp. Ale niepożądane znów jest, aby masy uświadomione i narodowe mogły o wyrzeczeniu się samego sztandaru niepodległości posądzić. A tymczasem powrót „taty" znów się odracza, Moskali bije Mackensen w Dobrudży, Niemcy są nieradzi z protestu, a aktywiści kładą kropki na „i" i z protestu wnioski o moskalofilstwie i zdradzie niepodległości wyciągają. Aktywiści z Klubu Państwowców są „nieznośni"; nie dają się wykręcić sianem. I oto już nie tylko Stronnictwo Narodowe, ale endecy w „Dwugroszówce" zastrzegają się dziś, że niepodległościowcami byli i są i że tylko o różnice taktyki im chodzi.

18 września, rok 1916, poniedziałek
Dziś rok upłynął od wyrzucenia Moskali z Wilna. Ten rok nie był jeszcze rokiem wolności Wilna, ale w każdym razie główna rzecz jest ta, że Moskala nie ma. Na razie to jest elementarne. Nie można było przypomnieć i upamiętnić w Warszawie tej rocznicy. Wacław Studnicki pisał mi z Wilna o tym, prosząc, abym zrobił w Warszawie jakiś ruch z tego powodu, ale to się nie dało zrobić. W prasie o Wilnie w znaczeniu politycznym pisać nie wolno, a poświęcać temu jakieś zebranie trudno, bo *primo* uwolnienie Wilna od Moskali połączone jest, niestety, dotąd z ciężkim systemem rządów niemieckich, które są dla Wilna nową niewolą, a *secundo* uroczystości takiej – a mógłby się do niej zabrać tylko Władysław Studnicki – nadano by tu charakter aneksyjno-polski, który bynajmniej tak pożądanym nie jest. Kto wie więc, czy nie lepiej, że data ta minęła w Warszawie zapomniana. Wątpię też, aby w Wilnie ją święcono.
Pomówię teraz o wiecu wczorajszym w Filharmonii. Był to znowu wiec w związku z owym pierwszym wiecem z d. 3/IX, którego uchwały wywiązały głośny konflikt między aktywizmem a pasywizmem. Klub Państwowców zdecydowany jest nie ustawać w raz obranym aktywistycznym kierunku i kuć żelazo całą siłą aż do skutku. I dobrze robi, bo tylko tą drogą można aktywizm w napięciu trzymać i hartować, wytężając jego ostrze. Protest „pięciu stronnictw", reprezentujących ideę bezwładu, nie przeszedł bez echa; wywołał jednak w obozie aktywistów tym większy ruch. Klub Państwowców przyjął go za rękawicę i z całą stanowczością podniósł. Zamiast rzucić woal na uchwałę z dnia 3/IX i zbagatelizować ją w opinii publicznej, o co autorom protestu chodziło, protest sprowokował nowy wybuch, nowe wytężenie aktywizmu. Po wielkim zebraniu z poprzedniej niedzieli z d. 10/IX w Palais de Glace w tejże sprawie,

wczoraj znów zwołany został wiec. Jego celem było wypowiedzenie się stronnictw niepodległościowych dla określenia ich stosunku do uchwały 3/IX i do protestu pasywistów. Firmę dla wiecu dał Klub Państwowców. Wypowiedzieć się miał Klub Państwowców i cały szereg stronnictw ludowych należących do CKN-u. Liga Państwowości Polskiej, którą też Klub zaprosił i która już ogłosiła enuncjację, solidaryzującą się z uchwałą z d. 3/IX i potępiającą protest, odmówiła jednak formalnego udziału w wiecu ze względu na udział w nim CKN-u. Wiec wczorajszy udał się jeszcze lepiej, niż pierwszy wiec z d. 3/IX. Tłumy przepełniały wielką salę Filharmonii. Setki, jeżeli nie tysiące, którym zabrakło biletów wejścia, stały na ulicy przed gmachem Filharmonii – aż do końca wiecu. Wewnątrz sala i galerie były pełne po brzegi. Wszystkie przejścia były literalnie zapchane stojącymi. Estrada też była wypełniona doborem zaproszonych. I co było na tym wiecu, a czego na pierwszym nie było – to entuzjazm tłumu, zbiorowa zgodna dusza audytorium, doskonały zespół sali z mówcami. Opozycji moskalofilskiej już nie było, a jeżeli nawet była, nie śmiała wystąpić. Ten nastrój wiecowy tłumu – to podstawa sukcesu. Makowiecki, który jako prezes Klubu Państwowców Polskich, zagaił wiec i przewodniczył na nim, zaprosił do stołu prezydialnego w liczbie innych i mnie także na asesora (w ten sposób Władysław Studnicki chciał mię uczcić, aby wynagrodzić mi przykrość i poniekąd afront, który mi w dniu 29/VIII na posiedzeniu Klubu Państwowców wyrządził przewodniczący Grzegorzewski, przerywając mi kilkakrotnie w przemówieniu i czepiając się mnie; wiem, że Studnicki był tym zgorszony, przepraszał mię i chciał ten incydent zatrzeć jakimś uczczeniem mię, jak mię o tym sam uprzedzał). Przemawiał cały szereg mówców, a więc Tadeusz Grużewski od Klubu Państwowców, Tadeusz Szpotański od CKN-u, robotnik i radny miejski Arciszewski od PPS-u, włościanin Nocznicki od Stronnictwa Ludowego, niejaki Jadczyk od NZR-u, adwokat Sumierowski od Radykałów Narodowych, ktoś taki od Związku Niepodległości, wreszcie Medard Downarowicz od Związku Patriotów. Gdyby nie mowa Arciszewskiego, całość mów wypadłaby dobrze bardzo. Arciszewskiemu nie udało się. Zaczął się plątać, powtarzać, wpadł w stan nerwowy, który go do reszty pozbawił panowania nad formą i myślą. Były chwile, że zdawało się, iż już nie wybrnie i utknie ostatecznie. Była to mowa męcząca dla mówcy i dla słuchaczy. A mówił bez końca, nie umiejąc wyczerpać rzeczy i kołując wciąż w ogólnikach o burżuazji. Mnie osobiście najwięcej się podobała chłopska mowa dzielnego „zaraniarza” Nocznickiego, który bardzo dobrze uwydatnił różnicę ślepej bierności ciemnego chłopa a czynnego obywatelstwa i patriotyzmu chłopa-ludowca, chłopa, który ruch społeczny chłopski tworzy. Znakomite były, jako okazy mów wiecowych – choć ja osobiście tego rodzaju sztucznych mów nie lubię – mowy Szpotańskiego i Medarda Downarowicza; takie mowy – to są pewnego rodzaju dzieła sztuki, w których tonacja i wibracja głosu, poza i gest sugestionują i rządzą tłumem. W szczególności mowa Downarowicza i co do treści ładnie zbudowana, a zwłaszcza znakomicie zakończona umiejętną apoteozą Piłsudskiego. Wiec w ogóle udał się bardzo dobrze. Wrażenie było silne nie sama tylko treścią i formą mów, ale jeszcze bardziej nastrojem masy wiecowej, czego na pierwszym wiecu nie było. Te wiece jednak robią swoje. Fotograf ze „Świata” dokonał zdjęć audytorium wiecu i prezydium. Tą drogą i ja w prezydium do ilustracji trafię. Po wiecu Medard Downarowicz wyszedł na balkon Filharmonii i stamtąd obwieścił zebranym przed gmachem tłumom o zsolidaryzowaniu się wiecu oraz przedstawicieli szeregu stronnictw z uchwałami z d. 3/IX, kończąc okrzykiem na cześć Polski, powtórzonym entuzjastycznie przez tłum na ulicy. Jacyś nikczemnicy, chcąc podjudzić tłum, rozrzucali przed Filharmonią przed wiecem kartki drukowane, zawierające falsyfikaty rzekomych uchwał Klubu Państwowców.

19 września, rok 1916, wtorek
Zwątpiłem w przyjazd Maryńki. Gdym po obiedzie wrócił do domu, zastałem małą walizeczkę ręczną, o której mi służąca powiedziała, że przyniósł ją podczas mojej nieobecności jakiś chłopczyk i że to jest dla mnie z Wilna, skąd on właśnie przyjeżdża. Co to za chłopczyk – nie wiem i nie domyślam się. Nie zostawił żadnej kartki, nic, oprócz tej walizeczki. Miał przyjść o godz. 6 wieczorem, ale nie przyszedł. Ma to być chłopczyk w wieku lat 12, uczeń jakiś. Spodziewam się, że może mi list od Maryńki przywiózł, a przynajmniej ustnie mi coś zakomunikuje, jeżeli się bał przewozić list, bo to zabronione. Już przeszło od tygodnia nie miałem od Maryńki żadnej wieści i z dnia na dzień albo listu, albo jej samej czekałem. W walizeczce, którą wnet otworzyłem, znalazłem cały zapasik rzeczy dla mnie, należących do garderoby i spiżarni: para grubych ciepłych wełnianych pończoch, znakomitych na zimno, koszula, gatki, ręcznik, chustki do nosa, a dalej duży kilkufuntowy kawał doskonałej domowej szynki litewskiej z samego miękisza, serek biały, szklanka świeżutkiego masła i pół bochenka chleba razowego oraz woreczek czystej palonej kawy. Wszystko akurat to, co mi Maryńka przywieźć miała. Skoro to teraz przysyła, przypuszczam, że już nie przyjedzie. Co robić? Trzeba się godzić z faktami, bo się głową muru nie przebije. Wolałbym jednak jej przyjazd od wszystkich tych specjałów razem wziętych. Ale i te specjały są przedniej wartości: taka szynka litewska, wędzona, sucha – toż to przysmak i zgoła rarytas w tych czasach wojennych, kiedy same świnie należą na Litwie do osobliwości ocalałej fauny! Zresztą teraz wszystko, jak masło, ser, chleb – należy do rzeczy cennych. Zajadałem już dziś te przysmaki, które mi smakują tym bardziej, że pochodzą prosto z mojej kochanej Litwy, szynka może jeszcze z Bohdaniszek, a masło i ser od krówki Maryńki, jej i naszej kochanej służącej Anuśki rękami własnymi przyrządzone.
Wieczorem byłem dziś na zebraniu przyjaciół „Widnokręgu", zwołanym przez Rzymowskiego i Hołówkę dla omówienia dalszych losów wydawnictwa pod względem głównie materialnym. Naturalnie, że uważano utrzymanie bytu „Widnokręgu" jako wybitnej placówki pracy niepodległościowej, za rzecz niezbędną. Wybrano komisję stałą, której zadaniem będzie czuwanie nad dostarczaniem pismu brakujących środków. Pomimo niezwykle trudnych dziś warunków materialnych dla pisma, jak trudności komunikacyjne, podział kraju na okupacje, zupełne zamknięcie debitu na Litwie i prawie że zupełne w Galicji, drożyzna papieru itd., „Widnokrąg" jednak rozwija się stale i poczytność jego, a przeto stopniowo i zbyt rośnie.
Przed dwoma blisko miesiącami dałem do „Widnokręgu" mój artykuł, pisany na rocznicę 6 sierpnia 1914. Jest to jeden z dobrych artykułów moich. Cenzura go zatrzymała, aż wreszcie w tych dniach dopiero zwróciła redakcji z pozwoleniem druku. W artykule tym analizuję czyn Piłsudskiego z d. 6 sierpnia jako akt wojny polskiej z Rosją, poczętej zupełnie samodzielnie i tworzącej już nie dążenie tylko, ale fakt niepodległości, fakt, który tylko przez opieszałość narodu upadł, obniżając czyn strzelców do poziomu Legionów Polskich w armii austriackiej. Artykuł ten zostanie teraz wydrukowany i ewentualnie redakcja myśli o wydaniu go osobną odbitką. Charakterystyczne jest to, że Niemcy go jednak puścili; stawia on bowiem sprawę polską i czyn Piłsudskiego w płaszczyźnie zupełnej niezależności państwowej od mocarstw centralnych i daleki jest od wiązania niepodległości z wolą i „łaską" Niemiec, a nawet z ich interesem. W ostatnich też czasach cenzura niemiecka zabraniała wszelkiego pisania o Piłsudskim, Oczywiście więc, że zakaz ten już nie obowiązuje, a przynajmniej nie jest tak kategoryczny.

20 września, rok 1916, środa

Choć w tej chwili prym u mnie trzyma sprawa Maryńki, zacznę od rzeczy większej – od wojny. Z wejściem Mackensena na scenę wróciły momenty wielkich czynów i głębokich silnych perspektyw wojennych, jak w roku zeszłym. Punkt ciężkości – znów na Bałkanach, krwawiących walką narodów – tym razem na Rumunii froncie. Jest jakby jakiś duch dziejów, który tętno krwawe losów świata na przełomie wieków XIX i XX na Bałkanach zasadził. Tam się klucz rozstrzygnięć wciąż fatalnie zwraca. Akcja w Dobrudży posuwa się w szybkim pochodzie naprzód. Dopiero wczoraj wieczorem komunikaty doniosły o wielkim ugrupowaniu się sił rosyjsko-rumuńskich do nowej obrony na linii Rusova-Copadinu-Tuzla, dokąd ściągnęły rozbite na południu wojska, stapiając się z nowym dopływem posiłków, gdy oto już nadchodzą pierwsze wieści jakby o dalszym przełamaniu i tej linii i zajęciu Copadinu przez Bułgarów, a więc już docieraniu do Wału Trajana, ostatniej zapory w Dobrudży. Jak huragan uderza Mackensen i jak wściekła fala łamią i leja się na północ Bułgarzy. Widowisko wspaniałe. Ale jeszcze głębszym staje się wrażenie z perspektyw, które otwiera mapa terenu na froncie rumuńskim. Gdy oto bowiem Wał Trajana sforsowany będzie i Dobrudża legnie, między linią dolnego Dunaju a Karpatami Siedmiogrodzkimi pozostaje szyja z głębokim worem Wołoszczyzny, wciśniętym w głąb terenu posiadania mocarstw centralnych. Przecięcie tej szyi gdzieś poprzez wschodnie kresy Wołoszczyzny, między nią a Multanami, obezwładnia i ścina od razu cały ten wór, stanowiący znakomitą część Rumunii z jej stolicą Bukaresztem. Czy do tego będzie zmierzało dowództwo niemieckie i dalszy plan akcji Mackensena? Ale już samo niesłychane skrócenie frontu, które by się przez to osiągnęło, a więc i uzyskana oszczędność sił na przyszłość – bo cóż za różnica prostej linii od dolnego Dunaju w Dobrudży do Karpat Siedmiogrodzkich w porównaniu do obecnej linii, biegnącej od Siedmiogrodu dokoła Wołoszczyzny i wzdłuż dolnego Dunaju! – byłaby sama przez się takim atutem, że dla pozyskania go wart jest jak największy wysiłek do forsowania tej szyi; nie mówiąc już o okupacji znacznego terenu w zysku.
Od Maryńki przyszło wyjaśnienie. Przede wszystkim, do wczorajszych rzeczy (którymi się dziś przez cały dzień zajadam) przybył jeszcze duży ciepły koc, znakomity na jesień i zimę na linii. Te ciepłe wełniane pończochy i ten koc – to będą namacalne dla mnie pamiątki, za które nieraz będę błogosławić Maryńkę w Legionach. Znowu nie byłem w domu, gdy mi ten koc przyniesiono. Nie wiem, komu mam dziękować za przywiezienie mi tych rzeczy, a chciałbym się z tą osobą zobaczyć. Maryńka pisze, że to jakaś panienka zabiera te rzeczy. Następnie z poczty przyszła awizacja na 100 marek, które mi Maryńka przysyła, i list od niej. Okazało się tak, jakem się domyślał. Odmówiono Maryńce pozwolenia na przyjazd do Warszawy. Biedaczka zrozpaczona. Nie może zrozumieć – dlaczego. Nie może też tego zrozumieć jej doradca, Niemiec p. von Strahl, jeden z wyższych urzędników urzędu przepustkowego („Pass-Amt") w Wilnie, który sam dla niej zredagował poprzednie podanie. Nie rozumie i jest oburzony na urząd przepustkowy warszawski za odmowę. Nie dziwię się, że się Niemiec oburza, gdy nie puszczają rodzonej siostry do zobaczenia się z bratem, legionistą, żołnierzem, współwalczącym z mocarstwami centralnymi i bawiącym czasowo w Warszawie między jednym a drugim pobytem w linii. Oburza to Niemca, który wysoko ceni żołnierza i ma część dla jego poświęcenia. Ale bo i Maryńka, i ten jej doradca Niemiec ani się domyślają rzeczywistej sytuacji, że ja tu moją przynależność do Legionów ukrywam i nie siedzę w charakterze żołnierza, bawiącego na urlopie. Tak jest faktycznie, ale o tym urząd niemiecki w Warszawie nie wie, bo ja mu tylko do zamiaru wstąpienia do Legionów, a nie do należenia do nich się przyznałem. I biedna kochana Maryńka z porady znowuż tego p. v. Strahla nowe głupstwo palnęła; głupstwo, bo nie wie rzeczywistej sytuacji mojej. Oto poradził jej v. Strahl, aby napisała bezpośrednio do

ekscelencji von Beselera, generał-gubernatora warszawskiego, prosząc, aby on osobiście jej pozwolenia na przyjazd udzielił; i znowu motywuje tym, że jestem legionistą; przysyła mi kopię tego listu do Beselera; pisze, że jestem od 1 ½ roku w Legionach, które walczą wraz z mocarstwami centralnymi, że czasowo przebywam w Warszawie i znów muszę do szeregów wracać i że ona prosi o dopuszczenie jej do widzenia się ze mną, o pozwolenie na przyjazd, a to tym bardziej, że jestem opiekunem jej i jej dzieci i że widzenie się jest niezbędne dla uregulowania rodzinnych i majątkowych interesów. Argumentuje dobrze i zaiste trzeba byłoby dzikiego systemu, aby takiej prośbie odmówić, ale cóż z tego, kiedy biedaczka w najlepszej wierze operuje faktem, do którego ja się nie mogę tu przyznać, a który, ujawniony przez jej list do Beselera, może się stać nawet niebezpiecznym dla mnie, bo mogą mię jako dezertera traktować, albowiem dokumentów wojskowych, na których podstawie tu siedzę, nie mam. Maryńka prosi mię, abym nie wyjeżdżał i jeszcze na decyzję Beselera zaczekał, ale kto wie, czy ten list do Beselera nie nakazuje mi już nawet po prostu ucieczki. Beseler z pewnością zechce sprawdzić, a wtedy ktoś z nas dwojga kłamie: Maryńka czy ja. Jej list może mnie zrobić dezerterem, a skutku nie wyda żadnego.

21 września, rok 1916, czwartek
„Gdzie krótko, tam rwie się". Maryńka mi przysłała 100 marek. Wczoraj otrzymałem awizację, dziś odebrałem na poczcie. I zgubiłem. W jaki sposób – nie wiem. Najdokładniej pamiętam, że włożyłem te pieniądze na poczcie do kieszonki tylnej w spodniach. Wieczorem, gdym się rozbierał, nie znalazłem ich tam i nie znalazłem nigdzie. Czy jakoś wypadły, czy ktoś wyciągnął – nie mam pojęcia. Nie zdarzało mi się dotąd nigdy, aby mi wykradziono pieniądze. Przez całe życie raz mi tylko skradziono – rewolwer z kieszeni. Żałuję tych 100 marek, bo jestem bez nich bez pieniędzy, a już za kilka dni wyjeżdżam. Nie mam po prostu serca żądać znów od Maryńki, której samej jest ciężko, a moich pieniędzy nie ma u niej. Telegraficznie może bym jeszcze zdążył od niej sprowadzić, ale nie zrobię tego. Będę musiał wystarać się pożyczyć na lichwę, co jest wątpliwe, aby się udało, albo zegarek mój złoty, ostatnią rzecz, zastawić. Mam coś ze 6-7 rubli w kieszeni i honorarium, które mi się jeszcze przed wyjazdem będzie należało z „Widnokręgu" w kwocie kilkunastu rubli. I to wszystko. A właściwie miałbym tu jeszcze przed wyjazdem wydatki w Warszawie. Choć ograniczę je do ostateczności, zawsze kilka rubli wyjdzie. Chwała Bogu jeszcze, że dzięki tej szynce, którą mi Maryńka przysłała, obchodzę się i obejdę do wyjazdu bez obiadów. Na linii pieniądze nie są potrzebne, ale nim dojadę, będę musiał posiedzieć w Lublinie i nie wiem, jak długo. Ano, coś na to poradzę. Zawsze jedna bieda pociąga za sobą drugą, ale na biedę musi się znaleźć rada.
Zdaje się, że mój wyjazd we wtorek czy środę odbędzie się nieodwołalnie. Prus-Mitkiewicz był tu wczoraj i zapewnia, że jadąc w przyszłym tygodniu przez Warszawę do Lublina będzie miał na marszrucie prawo przewiezienia jednego żołnierza i mnie ze sobą zabierze.
Z wczorajszego listu Maryńki dowiedziałem się z przykrością, że Jonas Vileišis, który był przez Niemców aresztowany w Wilnie, bynajmniej nie jest uwolniony i ma być wkrótce wywieziony do obozu jeńców cywilnych do Niemiec. Za co – nie wiem. Metody rządów niemieckich w Wilnie bynajmniej nie zelżały. Są one tak bezwzględne, jak były. Wszak Jonas Vileišis należy do tych demokratów litewskich, którzy od początku wojny byli przeciwni Rosji i sprzyjali zwycięstwu mocarstw centralnych, choć naturalnie nie w duchu aneksyjnym na rzecz Niemiec, jeno z myślą o wolności Litwy. Świeżo też z Wilna z urlopu wrócił oficer artylerii Legionów Wojnar. Opowiada, jaki jest ciężki stan w Wilnie i jak się Niemcy rządzą. Świeżo kazali miastu podpisać na 2

000 000 marek wojennej pożyczki niemieckiej, grożąc, że jeżeli miasto nie podpisze, to nałożą w tej sumie kontrybucję, której egzekucję oddadzą żołnierzom; oczywiście równałoby się to oddaniu miasta na łup żołdactwa. Po prostu nie chce się temu wierzyć. Chyba jest w tym przesada. Wypuścili też w Litwie na kilkaset milionów banknotów, czyli „rubli" krajowych z przymusowym kursem, co jest też rodzajem kontrybucji, bo banknoty te nie mają pokrycia i są przeto faktycznie bez wartości; Niemcom ten fikcyjny znak obiegowy z kursem przymusowym posłuży do wycofania z obiegu pewnej ilości marek i rubli rosyjskich, a zarazem da możność dokonywania opłat rekwizycyjnych w fikcyjnym „pieniądzu", który ich nie obciąża. Te banknoty bez pokrycia, których nie przyjmie ani Rosja na swój rachunek w razie jej powrotu do kraju, ani Niemcy w razie wycofania się z kraju, będą musiały być albo przez sam kraj pokryte, albo tez pozostaną czystą stratą tych, którzy będą ich ostatnimi posiadaczami. Naturalnie też, że do Wilna nie są dopuszczane ani gazety z Królestwa, ani nawet podręczniki szkolne polskie, sprowadzane z Warszawy. Wyjazd Hindenburga i przejście dowództwa na obszarze wschodu (Ob. Ost) w ręce księcia Leopolda Bawarskiego nie zmieniło w niczym politycznych metod rządów niemieckich w Litwie. Zdaje się, że politycznie rządzi tam dalej przez swych agentów Hindenburg.
W sprawie Legionów ogłoszony dziś został rozkaz cesarza Franciszka Józefa, stanowiący dość poważny krok naprzód. Jest to ustępstwo Austrii na rzecz domagań się polskich. Naturalnie, że załatwione to jest trochę „po austriacku", to znaczy połowicznie i poniekąd uderzając na formę z zachowaniem dawnej treści, ale nie można zaprzeczyć, że jest to postęp poważny. Odpowiedni akt znany jest nam dotąd tylko w streszczeniu komunikatu prasowego. Legiony otrzymują tytuł „Polskiego Korpusu Posiłkowego". Jest to tytuł i zarazem określenie ich stanowiska prawnego. Odtąd przeto są jednostką odrębną i całą, stają się „korpusem". Następnie jako korpus „polski" i „posiłkowy", czyli „pomocniczy", wychodzą poniekąd z organicznej całości c.k. armii austriackiej, stając się czymś równoległym do niej, związanym z nią tylko taktycznie i technicznie. Otrzymują też legalne odrębne sztandary własne. Jako korpus, mają też swoją korpusową formację dowództwa, choć liczebnie daleko Legionom do korpusu. Wielkim jednak brakiem tej reformy, jaj pięta Achillesową jest pozostawienie w niej c.k. oficerów austriackich, to znaczy zostawienie możności przydzielania ich do Legionów. Wprawdzie w akcie zastrzeżono, że odtąd ci przydzieleni oficerowie będą musieli nosić mundur legionowy i na czas ich przydziału będą formalnie oficerami Polskiego Korpusu Posiłkowego, ale fakt zostaje faktem, że zawsze mogą być przez Austrię narzuceni Legionom obcy oficerowie Austriacy. Tu właśnie uwydatnia się najwięcej ta „austriacka" połowiczność reformy; w myśl bowiem jednego z kardynalnych żądań Piłsudskiego i Konferencji Pułkowników, tzw. „legionizacja Legionów" powinna polegać na tym, że Legiony mają tworzyć wewnątrz formację odrębną, której szarże i dowództwo należeć ma wyłącznie do oficerów, którzy z samych legionowych kadrów wyszli. Co zaś do głównego momentu reformy – nadania Legionom charakteru Polskiego Korpusu Posiłkowego – to bądź co bądź jest zdobycz wielka. Jest to bodaj *maximum*, co mogło być osiągnięte bez zasadniczego rozstrzygnięcia sprawy polskiej w kierunku państwowym. Póki bowiem sprawa polska nie jest rozstrzygnięta, nie może powstać samodzielna armia polska; bez państwa jest ona niemożliwa. Postawienie więc Legionów na stopie korpusu posiłkowego – to na razie *maximum*. Jednak wciąż nie schodzi ze sceny mowa o mających rychło być ogłoszonymi zasadniczych politycznych postanowieniach mocarstw centralnych w Sprawie Polskiej. Niektórzy uważają, że reforma Legionów w kierunku korpusu posiłkowego nie jest jeszcze *maximum* i że tym *maximum* byłoby oddanie Legionów w

condominium Austrii i Niemiec, co by uwydatniło bardziej ich międzynarodowy charakter.

22 września, rok 1916, piątek
Skończyłem dziś moją pracę „listu do córki”. Wyrosła ona na poważną i wielką kartę mojej autobiografii, aczkolwiek niekompletnej, bo uwydatnionej głównie pod kątem dziejów mego stosunku do Reginy w latach od 1903 do 1910. Praca ta obejmuje 99 pasków rękopisu. Pisałem ją szczerze i poważnie, usiłują sięgać głęboko w istotę rzeczy i w prawdę dziejową mego życia, w pełnej świadomości przeznaczenia tej pracy dla mojej córki, której na wypadek mojej śmierci winienem szczerą i poważną odpowiedź na tajemnicę życia i stosunku jej rodziców. Zadowolony jestem z tej pracy. Złożyłem ją do rąk Heli Ochenkowskiej, upoważniając ją samą do przeczytania i prosząc o złożenie jej do rąk Maryni. Do Maryni zaś napiszę o tym w liście: ma ją przechować , mogą przeczytać sama i dać do przeczytania, a nawet wręczyć w kopiach siostrom naszym, a następnie oryginał wręczyć mojej córce, gdy dojdzie do wieku lat 18, to znaczy w roku 1928.
Ciekaw jestem, jak Piłsudski przyjmie austriacką reformę Legionów. Niewątpliwie stanowi ona krok naprzód w kierunku popularnych żądań Legionów, aczkolwiek kompletną nie jest. Dotyczy więcej formy niż treści. Ma brak poważny w pozostawieniu furtki otwartej do inwazji austriackiej do Legionów przez nominacje oficerów ze służby austriackiej. Z drugiej jednak strony, dopóki politycznie i prawno-państwowo Sprawa Polska rozwiązana przez mocarstwa centralne nie została, reforma ta zbliża się bardzo do *maximum* tego, co można było osiągnąć w kierunku usamodzielnienia Legionów. Co powie na to Piłsudski? Czy ważniejszą będzie dla niego forma prawnego stanowiska Legionów, czy też merytoryczne zmiany w ich wewnętrznym układzie, w nominacjach i w szczególności w oddaniu dowództwa jemu? W kołach piłsudczyków tutejszych zdania są podzielone. Zastępca Piłsudskiego, Sławek, bagatelizuje i lekceważy reformę; uważa ją tylko za wykręt austriacki, pozbawiony faktycznego znaczenia. Natomiast ligowcy i departamentowcy sławią reformę i słyszałem nawet od nich twierdzenie, że obecnie Piłsudski gotów jest podobno na zaakceptowanie werbunku. Wniosek ten zdaje mi się jednak przedwczesnym i wątpliwym, nie tylko dlatego, że zdanie Piłsudskiego, bawiącego w Zakopanem, nie może być im jeszcze wiadome, ale też dla tych zasadniczych motywów, które wiążą z werbunkiem akcję Departamentu Wojskowego, zasadniczo przez Piłsudskiego negowaną. Departament Wojskowy i jego obóz z pewnością będzie przypisywał reformę zasłudze Sikorskiego. Sam Sikorski jest obecnie w drodze na front, gdzie obejmuje komendę III pułku II Brygady, zachowując jednak szefostwo Departamentu Wojskowego , faktycznie zostającego obecnie pod kierownictwem Stanisława Downarowicza. Zadaniem Sikorskiego na froncie będzie z pewnością wzmocnienie prądu NKN-owego i polityczna przeciwwaga prądowi Piłsudskiego, który prawie że całkowicie w Legionach zapanował, robiąc swoim narzędziem Konferencję Pułkowników, względnie potem brygadierów. Sikorski, mając po swej stronie Januszajtisa, będzie usiłował modyfikować, a przynajmniej hamować ten prąd.
Przed kilku dniami odbył się w Piotrkowie zjazd Ligi Państwowości Polskiej, czyli, jak go Liga nazywa, Zjazd Obywatelski, ponieważ prócz przedstawicieli organizacji Ligi z obu okupacji Królestwa brali w nim udział także goście bezpartyjni, zaproszeni, naturalnie z pewnym doborem, przez Ligę. Rezolucje tego zjazdu są daleko idące, właściwie co do postulatów Sprawy Polskiej mało się różniące od takichże postulatów radykalnych grup aktywistycznych. Jest więc tam żądanie nie tylko państwa, ale i niepodległości, jest postulat sejmu polskiego, jest rząd polski i armia narodowa, która

by jeszcze w tej wojnie wystąpiła do walki z Rosją. Jest także zasadnicze dążenie do faktów dokonanych jeszcze w czasie trwania wojny, bez odkładania rozwiązań do czasu likwidowania wojny. Powierzchowny obserwator mógłby sądzić, że nic głębszego nie dzieli Ligi od CKN-u i Piłsudskiego i że walka tych dwóch obozów jest wyrazem nieporozumienia i wzajemnych uprzedzeń; zarzut austrofilstwa czy raczej ustępliwości i daleko idącej ugody na rzecz Austrii, skierowywany zwykle do Ligi Państwowości Polskiej, mógłby się też wydać na zasadzie tych rezolucji zjazdowych próżnym, bo rezolucje te w ich brzmieniu są zupełnie nie tylko od ugody, ale od wszelkiego cienia austrofilstwa wolne; wszystko, co mogłoby to bezpośrednio stwierdzać, zostało z rezolucji usunięte. A jednak byłby to błąd. To, co dzieli obóz Ligi od niepodległościowego obozu Piłsudskiego (to jest właściwsza nazwa tego obozu, niż nazwa CKN-u), polega nie tyle na wnioskach końcowych i celach, ile na środkach, metodzie i taktyce. Tę różnicę można by w rezolucjach zjazdowych LPP wyśledzić w ich stosunku do NKN-u, do Departamentu Wojskowego, do Legionów i kwestii werbunkowej, aczkolwiek momenty taktyki są zaznaczone dyskretnie wobec jaskrawych i dobitnych sformułowań celu. Na czymże głównie ta różnica polega? Liga nie wierzy w wydobycie z wewnątrz narodu wielkiej siły aktywizmu i woli, na której można by dźwignąć wyrażone postulaty samodzielnie. Toteż nie w tym kierunku idzie jej działanie. Operuje ona wprawdzie także argumentami „woli olbrzymiej większości” itp., ale posługuje się tym jako fikcjami; za to tym większą przywiązuje wagę do wszelkich, choćby niedoskonałych, ale już istniejących form, które tę fikcję odtwarzać mogą, jak Legiony, Departament Wojskowy, NKN. Rzeczy tych tykać się boi, bo nie wierzy, aby po ich obaleniu coś nowego z wewnątrz wyrosło; stąd usiłowanie do konserwowania tych wszystkich form z pietyzmem, stąd „legalizm” Ligi wobec wszystkich tych kształtów, choćby uświadamiano sobie ich braki i ich fikcyjność lub nieraz sprzeczność wewnętrzną; stąd też dążenie do akcji dyplomatycznej na zewnątrz, do związków z czynnikami, które by na zasadzie solidarności interesów czy dążeń potencjalnych lub dynamicznych mogły cele i postulaty Sprawy polskiej poprzeć. Liga – to typowy obóz „białych” w aktywizmie narodowym, to krew z krwi i kość z kości tych, co w dawnych narodowych ruchach polskich tworzyli obóz kunktatorstwa, układów i legalizmu. Niewiara w wewnętrzne siły masy narodowej, pewne lenistwo czynu, obawa przed ryzykiem i potępianie rewolucyjnych metod jako burzących fikcje i wartości, bądź pozorne, bądź cząstkowe dla urojeń nowych i wielkich rzeczy, do których w istocie siły nie ma – to są cechy Ligi Państwowości Polskiej. Wrócę do tego jeszcze jutro.

23 września, rok 1916, sobota

Liga Państwowości polskiej składa się z inteligentów i pozbawiona jest wszelkiego ludowego, a nawet w ogóle społecznego oparcia. O ile są w niej jednostki lub grupki czy to chłopów, czy ziemian, są to tylko bądź jednostki, bądź grupy przekonane o jej celach i programie, ale nie wyrastające z jakiegoś społecznego ruchu, nie mająca za sobą podłoża społecznego we właściwym znaczeniu słowa. W szeregach LPP są niewątpliwie jednostki szczere i głębokie, pełne wiary patriotycznej, ludzie o wielkich ideałach, niepodległościowcy, kochający wolność, humaniści czystej wody i szlachetnej tęsknoty, są nawet ludzie o głębokiej demokratycznej koncepcji, jak ze znanych mi – Zygmunt Chmielewski i Józef Dąbrowski-Grabiec, dwaj ludzie, których w Polsce do najszlachetniejszych humanistycznych umysłów zaliczam; są też tacy, jak Garlicki lub jak adwokat Kazimierz Rudnicki z Piotrkowa, w których szczerość i głębokie niepodległości ukochanie wątpić niepodobna. Ale łączy ich w obozie Ligi nie wiara w wydobycie z wewnątrz narodowej masy sił żywych jeszcze w czasie trwania tej wojny;

uważają oni, że wojna nie jest odpowiednim do tego momentem i że w dobie żywiołowych klęsk nie ma miejsca na wielki planowy ruch społeczny, który by te siły, wytwarzające się zwykle przez pokolenia i lata, wykształcił. Może właśnie dlatego, że tacy Chmielewscy są z gruntu społecznikami-demokratami, przywykłymi i wierzącymi w formy tak planowe tak planowe i głębokie, ale zarazem metodyczne, społecznego i obywatelskiego wykształcenia, jak np. spółdzielczość, może właśnie dlatego są oni dziś nie w obozie polityki ludowego aktywizmu, ale w obozie „białych", w obozie Ligi.
Wręcz inną jest metoda CKN-u. CKN wyrasta z ruchów ludowych, ma w podłożu takie społeczno-polityczne organizacje i prądy, jak Stronnictwo Ludowe, PPS, Narodowy Związek Robotniczy. Toteż nie na układach i dyplomacji, nie na konserwowaniu form cząstkowych lub kostniejących opiera on swój aktywizm; usiłuje on sięgnąć w głąb, organizować w masie narodowej siły żywe, ze społecznych pierwiastków płynące; nie waha się uderzać w formy wadliwe lub połowiczne, nie boi się je kruszyć i podważać, wierząc, że żywa wola, żywa siła odtworzy lepsze i doskonalsze kształty dążeń; metoda jego jest rewolucyjna. Takim jest wódz Piłsudski i na takich to metodach oparty cały aktywizm lewicy niepodległościowej. Z tej metody powstała P.O.W., z tej metody płynie radykalne hasło antywerbunkowe, namiętna walka z Departamentem Wojskowym, podejrzliwość i niechęć do NKN-u, wreszcie CKN-u linia polityczna. I CKN po tej linii rewolucyjnej, linii wydobywania sił z wewnątrz, tworzenia stanu woli w samej głębi masy narodowej idzie prawie że stale; jedno miał tylko odchylenie od tej linii w dobie iluzji akcji konsolidacyjnej, kiedy to od działania wewnątrz zwrócił się do flirtu i przekonywania prawicy ponad głową Ligi Państwowości; ale to odchylenie było dziełem tych właśnie elementów CKN-u, które są w nim oderwane od żywego ruchu ludowego, mianowicie jego prawicy, złożonej z takich inteligenckich efemeryd partyjnych, jak Związek Patriotów i Radykali Narodowi; i w samym CKN-ie z łona jego ludowych formacji, od ludowców i PPS-u, przyszła rychło reakcja przeciwko odchyleniu, która znów go nawróciła do właściwej metody społecznego ruchu i wydobywania sił z wewnątrz. W tych ludowych elementach CKN-u jest zawsze głęboki sprawdzian jego polityki, regulator jego linii, który go od dróg dyplomacji i spekulacji odciąga. Radykalny obóz niepodległościowy, obóz Piłsudskiego – to są „czerwoni" w ruchu narodowym.
Takie są zasadnicze najgłębsze różnice między obozem Ligi Państwowości a obozem, który się zwie CKN-em, choć CKN niezupełnie i nie całkowicie go reprezentuje. Który z nich ma rację? Bliższą mi jest linia CKN-u, linia Piłsudskiego i ruchów ludowych. Ale ze stanowiska historycznego, ze stanowiska funkcji społecznych i narodowych muszę wyznać, że oba wydają mi się równie potrzebne i pożyteczne i że się oba uzupełniają. Bo z jednej strony uznaję, że wydobycie sił z wewnątrz nie może być wystarczające dla Sprawy; olbrzymie masy są uśpione i na poczekaniu, gdy są one galwanizowane klęskami elementarnymi, na które mają tylko odruch instynktu i czucia, nie mogą być do świadomego i planowego ruchu wdrożone. Nie powiem, jak mówią niektórzy ligowcy (Ludwik Abramowicz), że naród polski jest trup i że z trupa siły żywej się nie wydobędzie, ale faktem jest ujawniona olbrzymia bierność masy ludowej w tej wojnie, bierność, która z dnia na dzień cudownie się na pełny woli i świadomości czynnej aktywizm nie zamieni. Akcja więc Ligi, akcja konserwowania form zdobytych, choćby niedoskonałych, i „legalizmu" – jest pożyteczna. Niemniej nie przestaje być pożytecznym wytwarzanie stanu woli ze źródeł ludowych i pogłębianie wewnętrznych sił własnych; choć tych sił samych, bez innych czynników, nie starczy dla całej potęgi dzieła, jednak przybywa w nich narastanie kapitału, którego im więcej się nagromadzi, tym lepiej. Kapitał ten nie będzie jałowy, choćby dlatego, że mógł fikcje zapładniać

ruchem i nie tylko sam się bezpośrednio na szali Sprawy Polskiej ważył, ale też i atuty „białych" ożywiał.
Jest dziś w Polsce pięć wielkich kierunków politycznej myśli czynnej: na skrajnej prawicy moskalofilstwo, obok niego tchórzliwy pasywizm, względnie nawet niepodległościowy, ale przede wszystkim gotowy do akceptowania i oparcia się na wszelkich faktach dokonanych, byle mieć gwarancje ich trwałości i siły, dalej „biali" aktywiści z Ligi Państwowości, dalej radykalni niepodległościowcy z ludowym „czerwonym" obliczem, wreszcie na skrajnej lewicy socjalni demokraci, sceptycy wojny, wierzący w społeczną rewolucję i z niej gwiazd ludowych i narodowych się spodziewający. Między nimi są pośrednie, przejściowe ogniwa, jak np. „Grupa Pracy narodowej", względnie pewne nowotwory, jak Klub Państwowców Polskich. Ale zasadniczych i elementarnych wielkich linii – pięć. Poza nimi jest wielkie ciemne morze tłumów, czujące i odruchowe, stanowiące elementarny żywioł ludzki, nie posiadający żadnej linii rozumnej, żadnej drogi planowej swego ruchu.
Przyszła z Legionów smutna wiadomość osobista. Przywiózł ją z I Brygady Juliusz Taden. Zginął Sulkiewicz, popularnie znany pod imieniem „Michał". Cześć jego pamięci! Był to stary PPS-owiec, wierny piłsudczyk, typ mocny i charakterystyczny. Z pochodzenia był Tatarem litewskim, w młodości poczuł się Polakiem i odtąd nim pozostał, gorliwie Polsce służąc, a nie zaprzestając zarazem praktyk tatarskich w trybie życia i w układzie rodzinnym; był „*gente Tartarus, natione Polonus*". Przez szereg lat był urzędnikiem rosyjskim na komorze celnej w Wierzbołowie, gdzie, należąc do PPS-u, duże usługi oddawał partii, szwarcując przez granicę partyjną bibułę nielegalną i ludzi. Przed laty 20 w ucieczce Józefa Piłsudskiego z więzienia brał czynny udział osobisty w przeprawie, ukryciu i przeprawieniu przyszłego Komendanta przez granicę. Sulkiewicz oczywiście został przez ten czyn politycznie skompromitowany i poszedł na emigracyjną tułaczkę i nielegalną podziemną robotę. Z wybuchem wojny został przez Piłsudskiego posłany na tajnego emisariusza do zaboru rosyjskiego. Był w Warszawie i Wilnie, gdzie na wiosnę r. 1915 i do mnie wstępował. Umiał umknąć przez Szwecję do Komendanta i nazad się do Rosji przeszwarcować. we wrześniu roku zeszłego Niemcy go aresztowali w Warszawie i wywieźli do obozu jeńców cywilnych, gdzie całą zimę przebył internowany. Na wiosnę tego roku uwolniono go. Wówczas pojechał do Brygady. Był sierżantem prowiantowym. Ale zechciał pójść bezpośrednio do linii i został szeregowcem w pułku Berbeckiego. Przebył gorące walki lipcowe i wyszedł z nich cało. I oto teraz zginął w okopie od błędnej kuli bez bitwy żadnej. Przygodna śmierć żołnierza. Cześć mu!

24 września, rok 1916, niedziela
Na wojnie nic nowego. Walko w Dobrudży przed Wałem Trajana utknęły. Komunikaty stamtąd brzmią lakonicznie: nic nowego. Na innych frontach to tu, to ówdzie toczą się walki, ale wielkich rzeczy nie ma.
Dziś o godz. 6 w mieszkaniu Ludwika Abramowicza odbyło się zebrańko litewskie, zwołane przeze mnie. Myśl tę powzięliśmy obaj z Abramowiczem, który coraz bardziej grawituje w kierunku już nie tylko krajowym, ale państwowym litewskim. W Ludwiku Abramowiczu jest pewna przekorność, która sprawia, że w Wilnie jest on bardziej nacjonalistą polskim, podczas gdy w Warszawie, z dala od Litwy, i im dłużej, tym bardziej, ukrajawia się w kierunku litewskim. Do tego stopnia nawet, że już zaczyna siebie coraz częściej nazywać Litwinem, przyjmując konsekwentnie prawno-państwową terminologię litewską (w historycznym Litwy pojęciu) i ostro się przeciwstawia Polsce jako odrębnej państwowości. Myśl tego zebrańka była ta, żeby się grono ludzi z Litwy, bez różnicy narodowości, którzy są obywatelami Litwy i za takich się uważają,

poczuwając się nie tylko do praw, ale i do obowiązków obywatelskich i którzy świadomie hasło „Litwa dla Litwy” wyznają, poznało się i porozumiało ze sobą, aby ewentualnie, gdy będzie zachodzić potrzeba, móc z tym hasłem wobec opinii polskiej w Warszawie występować. „Litwa dla Litwy” – to znaczy, że Litwa nie może być traktowana jako przedmiot użytkowy, jako rzecz służebna dla czyichś poza nią korzyści, jako martwy przedmiot spekulacji sąsiadów, czy sąsiadem tym byłaby Rosja, czy Niemcy, czy polska, ani też, jak stawia np. Klub Państwowców Polskich – jako „kresy” (kresy „północno-zachodnie” dla Rosji, „północno-wschodnie” dla Polski). Litwa – to indywidualność żywa i czynna, to osobowość, która ma byt i prawo własne i z tego stanowiska jej dzieje, jej los i jej stosunek do innych krajów i formacji państwowych powinien być ustalony. Może być mowa o związkach, o federacji, o unii, ale zawsze tylko z Litwą jako krajem żywym. „Litwa dla Litwy” – to znaczy również, że współobywatelami i współgospodarzami jej są wszyscy mieszkańcy, wszystkie zaludniające ja narody na równych założeniach praw i obowiązków obywatelskich przy zupełnej swobodzie rozwoju i praw narodowych. Chodzi o to, że w Warszawie w polskim aktywizmie państwowym wypływa często kwestia Litwy i stosunku do niej Sprawy Polskiej. Bywa to omawiane na zebraniach publicznych, w róznych polskich organizacjach politycznych, względnie w prasie. Ogół polski mało się orientuje w sprawach Litwy, nie zna jej i nie rozumie, i nie złej woli, ale po prostu z nieświadomości lub nawet z pojęcia swych praw narodowych i domniemanych krzywd, które rzekomo od Litwinów czy tam Białorusinów grożą polskości na Litwie, akceptuje nieraz wszystko, co przygodni mówcy, publicyści i politycy mu w swoich względem Litwy pomysłach podają, a ci znów gadają i projektują, co im tylko na myśl przyjdzie, będąc zupełnie niepowołani do sądzenia sprawy litewskiej. Chodziłoby więc o to, aby grono Litwinów – w znaczeniu obywateli Litwy – reagowało na te rzeczy i w miarę potrzeby czy słowem, czy pismem prostowało błędy i zapędy różnych polityków, jak w pierwszym rzędzie p. Władysława Studnickiego, przeciwstawiając im tezę „Litwa dla Litwy”, nie wykluczającą żadnych związków w zasadzie, byle te były na prawach również Litwy samej oparte. Jest to więc próba obrony „prawa Litwy”. Nie chodzi tu o to, aby to grono miało podjąć jakąś samodzielną akcję polityczną od imienia Litwy, bo do tego nie jest powołane ani przez kraj lub jakieś jego grupy upoważnione, a nie mając w tej chwili z powodu warunków wojennych ciągłego i bezpośredniego kontaktu z krajem, mogłoby nawet akcją taką zbłądzić na manowce i zostać przez samą Litwę zdezawuowane. Nie o programową samodzielną akcję polityczną chodzi więc tutaj, ale o pełnienie wobec opinii polskiej uświadamiającej funkcji o szanowaniu przez nią prawa Litwy, prawa oczywiście prawno-państwowego. Istniejące tu dotychczas tzw. „Koło Wielkiego Xięstwa Litewskiego”, założone w czasie wojny, a dziś już mające być zreszta likwidowanym, funkcji tej nie spełniało. Dość powiedzieć, że prezesem tego „Koła” był Władysław Studnicki, aneksjonista bezwzględny, wyznający zasady kolonizacji Litwy, drwiący z jej „praw” państwowych. Zresztą „Koło W. X. Litewskiego” powstało powstało dla innych zupełnie zadań. Właściwie w myśli większości jego członków, których dobierano bez żadnego wyboru, byle tylko ktoś się urodził na Litwie lub choćby miał żonę z Litwy, miało ono symbolizować „jedność” z powstającą Polską, jedność byle jaką, choćby, a nawet najczęściej – aneksyjną, miało służyć fikcją „woli Litwy” do stopienia się z Polską w państwowości. Stróżem „prawa Litwy” „Koło” to nie było nigdy. Miało być tylko dziecinną laleczką Litwy, dorobioną do potrzeb Polski, ażeby służyć im za figurantkę. Nie taką może była myśl założycieli „Koła”, a przynajmniej nie wszystkich; nadając mu poważne imię „Koła Wielkiego Xięstwa Litewskiego” i zaznaczając już przez to samo historyczno-państwową postać Litwy, mieli z pewnością co innego na myśli; ale brak doboru ludzi wykoleił instytucję i

przekształcił ją w duchu aspiracji większości. Na dzisiejsze zebrańko do Abramowicza zaprosiłem tylko tych, o których stanowisku obywatelskim względem Litwy byłem pewny, a więc z Polaków litewskich zaprosiłem, oprócz nas dwóch z Abramowiczem: Helę Römer-Ocenkowską, PPS-owca Czarkowskiego (Leona), młodego Mieczysława Niedziałkowskiego i Wysłoucha (Szacha), który zwłaszcza ma sympatie białoruskie, a zresztą w ogóle zajmuje b. wolnościowe względem Litwy stanowisko i jest daleki od nacjonalizmu, choć skądinąd nie jest ani politykiem, ani człowiekiem czynu, z Litwinów zaś rodowitych, których tu w Warszawie odszukałem, zaprosiłem Kasakaitisa, dr Delenikaitisa, Sokołowskiego (litewski pseudonim poetycki: Vanagėlis) i Bolesława Herbaczewskiego. Zebrali się wszyscy prócz Czarkowskiego. Wymiana zdań uwydatniła głęboką zgodność wszystkich w pojmowaniu zasady „Litwa dla Litwy" i istotnych tego konsekwencji i zadań. Bardzo się z tego cieszę. Co do Litwinów, którzy brali udział w zebraniu, to Delenikaitis i Sokołowski-Vanagėlis są typami zupełnie apolitycznymi i tylko poczciwcami-ramolciami. Dr Herbaczewski jest, zdaje się, mocno na to wszystko obojętny i tylko jeden Kasakaitis istotnie myśl narodową litewską reprezentuje. Jest to typowy Litwin, w którym czuć upór i nieufność, ale razem serce i wiarę, typ, w którym czuć jeszcze chłopa, nie strawionego przez inteligencki polor. Ten się nam przyda. Bardzo się ucieszyłem z zebrania. Ujawniło się na nim dążenie do utrzymania ściślejszego zawiązku, co też ma być dalej formowane. Ja w tym udziału już nie wezmę wobec wyjazdu mego. Ale oby rzecz postępowała po nakreślonej linii. Nie jest to jałowy pomysł.

25 września, rok 1916, poniedziałek
Już nadchodzi czas mojego wyjazdu. Jeżeli nic nie stanie na przeszkodzie, jutro przyjeżdża z Piotrkowa Prus-Mitkiewicz i wieczorem zabierze mię na swoją marszrutę do Lublina.
Załatwiłem dziś moją sprawę pieniężną, tak opłakaną przez stratę owych 100 marek przed kilku dniami. Skończyło się na tym, że istotnie zastawiłem w lombardzie mój kochany, wierny i pamiątkowy zegarek. Z żalem go pożegnałem, choć lepiej jest, że go nie biorę ze sobą, bo mógłby tam różnym ulec przygodom. Ale zegarek ten jest dla mnie jak przyjaciel. Służył mi on wiernie przez lat 19, od jesieni roku 1897, kiedy go otrzymałem w darze pośmiertnym od mego przyjaciela Piotra Szymkowicza, zmarłego śmiercią samobójczą w Petersburgu. Piękny jest ten zegarek i cenny jako okaz ze swym znakomitym repetytorem, bijącym godziny, kwadranse i minuty, poza tym pamiątkowy i swojski, jak coś, co zawsze mi towarzyszy. Był on już raz wprawdzie w lombardzie przez kilka miesięcy – było to w r. 1907 w Krakowie – i teraz po raz drugi poszedł w poniewierkę. Kwit lombardu na zegarek i na zastawiony poprzednio łańcuszek złożyłem u Leona Altera, a do Maryńki napiszę, aby z czasem przysłała pieniądze na wykupienie jego. Za zegarek otrzymałem w lombardzie rubli 60. Kupiłem sobie natomiast za rb. 8 inny zegarek, czarny, płaski, używany, ale ładny; zapewniono mię w magazynie, że chód ma bardzo dobry.
Wyjeżdżam więc. Chyba że to już pewnik. Myliłby się, kto by sądził, że mi to z łatwością przychodzi. Zaiste trudniejsze jest wykonanie od postanowienia. Jest tysiące zawsze wątpliwości i zastrzeżeń, które wyrastają na drodze wykonania postanowienia i usiłują jego linię odwrócić lub odchylić. Szczególnie zaś gdy chodzi o Legiony w ich obecnym położeniu i w tych warunkach ogólnych, w jakich się znajduje rozwój sprawy, której one służą. Rzecz nie jest łatwa i prosta bynajmniej. Ale prostym wydaje mi się jedno: wszak <u>już jestem</u> legionistą, a skoro nim jestem, moje miejsce jest w nich – aż do ich logicznego skutku. Inaczej by dziś stawała kwestia, gdyby chodziło o wstąpienie do nich, a inaczej, gdy już należę i gdy mi się wyjazd do Wilna, prosty cel mego

obowiązku – nie udał. Dużo musiałem jednak w sobie wywalczyć i stłumić, by się na drodze prostego postanowienia utrzymać. Nie z lekkim też jadę sercem.
Zostaje miejsce. Skorzystam i dodam jeszcze słówko w materii wczorajszego. Dostrzegłem u Litwinów warszawskich jedną rzecz, różniącą ich koncepcję od popularnej litewskiej koncepcji w kraju. Mianowicie mają oni skłonność do państwowej koncepcji Litwy historycznej, to znaczy terytorium W. X. Litewskiego, ogarniającego całą Białoruś. Litwini w kraju mają stałą tendencję do prawno-państwowego separowania Litwy etnograficznej, którą chcą raczej łączyć z pokrewną Łotwą, niż ze związaną z nią historyczno-państwowymi tradycjami Białą Rusią. Ta koncepcja Litwy etnograficznej, wyrosła z ludowego ruchu litewskiego, bardziej odpowiada narodowym i ludowym współczesnym Litwinów dążeniom. I ona też uwydatnia się w programach różnych politycznych partii litewskich oraz w koncepcjach inteligentów Litwinów w kraju. Tymczasem, jak to tu spostrzegam, inteligenci Litwini, odrywający się od kraju i od żywego kontaktu z ruchem ludowym, zatracają też koncepcję etnograficznej Litwy i zwracają się w swojej myśli państwowej do kategorii historycznych; stają się państwowcami Wielkiego Xięstwa, do którego tradycji, jako źródła historycznej państwowości Litwy, bezwiednie wracają, zapominając o nowej ludowej koncepcji państwowej – Litwy etnograficznej. Jest to szczegół charakterystyczny dla różnych wyrazów pojęć.
I jeszcze jedno. Zanotuję tu, że w CKN-ie mojego projektu rezolucji litewskiej, o którym w lipcu pisałem w dzienniku, uchwale nie poddałem wcale. Pisałem obszernie w dzienniku o tym projekcie rezolucji i o dyskusji, która się w związku z nim w sprawie litewskiej odbyła. Wtedy projekt rezolucji odesłano do redakcyjnego skorygowania do komisji politycznej CKN-u. Komisja polityczna to wykonała. Ustalony przez nią projekt rezolucji miałem poddać uchwale. Gdy jednak ujawniło się, że do Litwy nie dojadę, umyślnie projekt ten wstrzymałem i na porządek dzienny go nie wniosłem wcale. Bo gdybym pojechał do Wilna, wszcząłbym tam akcję i ona to byłaby punktem ciężkości pewnych ewentualnych politycznych układów z ruchem polskim. Mój projekt rezolucji CKN-u był tylko, jak ja go pojmowałem, zagajeniem do akcji, mającej się tam wszcząć i sam przez się bynajmniej doskonałym nie był: był ze stanowiska litewskiego bardzo kompromisowym, umyślnie tak przeze mnie budowanym, aby mógł być dla Polaków tu pożądanym. Gdy jednak na Litwie akcji odpowiedniej nie będzie, rezolucja taka, gdyby została uchwalona, nie byłaby już zagajeniem, mogącym podlegać poprawkom w układach, ale mogłaby zyskać pozory programu litewskiego jako stałego wyrazu dążeń CKN-u względem Litwy. Tego sobie bynajmniej nie życzyłem. Jako program – mój kompromisowy projekt rezolucji byłby zły. Zagajenie – to bodziec, który by pchnął wolnościowe elementy Litwy do żądań głębokich w tej rezolucji poprawek, podczas gdy program – krystalizowałby te niedokładności. Dlatego też rozmyślnie wstrzymałem go.

26 września, rok 1916, wtorek
Dzień mego wyjazdu.
Pożegnałem się z ostatnimi mymi przyjaciółmi w Warszawie, po obiedzie (przepraszam – po ostatkach smacznej szynki z Wilna) poszedłem po raz ostatni na sjestę do „Udziałowej" i koło godz. 4 po południu zasiadłem w domu w oczekiwaniu Prusa-Mitkiewicza, który miał o tej porze przyjechać z Piotrkowa. Czekałem go na próżno do godz. 8 i już myślałem z przyjemnością, że coś mu w przyjeździe przeszkodziło i że ta droga jeszcze jeden drogi dzionek swobody zyszczę. Ale o godz. 8 przyszedł Prus. Oznajmił, że może mię zabrać na swoją marszrutę i że wyjeżdżamy dziś po północy. Jeszcze raz pośpieszyłem do „Udziałowej", gdzie jeszcze chwilkę, rozkoszując się

stanem cywila, przebyłem, gawędząc ze starym Aleksandrem Dębskim, i już wróciłem na ostatnie obrządki. Ułożyłem rzeczy cywilne, które tu u L. Abramowicza zostawiam, wojskowe zaś rzeczy wcisnąłem do plecaka, ubrałem się w mundur wojskowy i o północy wymaszerowałem na Dworzec Wiedeński. Prusa tam zastałem z paru departamentowcami, młodymi żołnierzami-ułanami, znajomymi mi ze szpitala w Krakowie i z Kamieńska – Tadeuszem Wojciechowskim i Leszczyńskim. Są to tacy sami typowi obijacze-karierowicze jak Prus; mają już gwiazdki sierżanckie i dekują się w Departamencie; chłopcy piękni i różowi, którym w głowie dziewczyny, puste życie, a mundur dla ozdoby i pewnego rodzaju podniety zmysłowej w zabawie. Naturalnie – głowy i serca puste, dalekie od jakiejkolwiek idei i ofiary. Przeraźliwie martwa i jałowa jest jednak atmosfera duchowa tych tyłowców po departamentach, urzędach werbunkowych, komendach placu itd. Są to paniczyki lub manekiny-obijacze. Jeszcze Wojciechowski był przez cały pierwszy rok rzetelnym ułanem na wojnie, ale Prus i Leszczyński – to nic prócz obijania się. Po północy *via* Siedlce-Łuków wyjechaliśmy do Lublina.

27 września, rok 1916, środa
Rano przyjechaliśmy z Prusem do Lublina niewyspani. Posililiśmy się w zacnej gospodzie dla legionistów. I koło południa ruszyliśmy do interesów. Miałem dla moich usiłowań dotarcia na linię do pułku dwie drogi: jedną CKN-ową i I-Brygadową, której kluczem był list Aleksandra Dębskiego do jednego z lubelskich *leaderów* Wydziału Narodowego, ob. Poniatowskiego, drogę szczerą, ale jako nieformalną, niepewną i tylko na okazjach polegającą, i drugą departamentową, której kluczem był list Ludwika Abramowicza do oficera werbunkowego w Lublinie Dąbskiego, drogę, prowadzącą za tory formalne, ale niepewna przez to, że nie wiadomo było, czy się da otworzyć dla mnie, CKN-owca i piłsudczyka, jadącego z cywila do Brygady z pominięciem urzedowych pośrednich łańcuchów formalizmu. Z przykrością też dowiedziałem się, że Dąbskiego nie ma w Lublinie. Ale długo nie myśląc spróbowałem iść na przebój. Zwróciłem się wprost do komendanta placu porucznika Boczarskiego, któremu pokazałem list Abramowicza do Dąbskiego i poprosiłem o marszrutę. Boczarski – to figura jeszcze mniej obywatelska od departamentowców (karierowicz niskiej wody i były zagórszczyk). Ale liczyłem na jego dawne stosunki ze mną w „Gazecie Wileńskiej”, że go jednak względem mnie krępować i obowiązywać będą i że jeżeli nawet nie zrobi mi tej usługi, to przecież nic przeciwko mnie nie przedsięweźmie. Zgodził się od razu i polecił kancelarii przygotować mi na jutro marszrutę. Wszystko więc gotowe. Jutro ruszam do Legionów na linię. Wracam do wojaczki mojej. Boże mi dopomóż, a Twoje imię święte, Aninko, Twój duch – niech mi świeci gwiazdą nie pomyślności osobistej, ale twardego obowiązku! Amen.